NIEDZIELA

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA LUDU POLSKIEGO W AMERYCE.

Nr. 41. DETROIT, MICH., 12-go CZERWCA 1892 ROKU. TOM II.

Redaktor. Ks. Dr. Mieczysław Barabasz.

KALENDARZYK TYGODNIOWY.

12	Czerwca	N.	Onufrego wyz.
13	,,	P.	Antoniego zPawdy
14	,,	W	Bazylego bisk.
15	,,	Ś.	Wita i Modesta
16	,,	C.	Benona bisk.
17	,,	P.	Adolfa bisk.
18	,,	S.	Marka i Marcelina

Listy i przedpłatę

WYSYŁAĆ NALEŻY POD ADRESEM:

The Polish Weekly

„NIEDZIELA"

DETROIT, MICH.

POLISH SEMINARY,

Cor. St. Aubin and Garfield Ave's.

PRZEDPŁATA WYNOSI:

	Rocznie	Półr.	Kwart.
W Stanach Zjedn.	$ 2.00	$ 1.00	50 c.
W Austryi.	5 złr.	2.50złr.	1.25.
W Niemczech.	10 mk.	5 mk.	2.50.

Rękopisów drobniejszych Redakcya nie zwraca.

MATKI! OJCOWIE!
MÓWCIE Z DZIEĆMI PO POLSKU!!

OD REDAKCYI

☞ Przedpłatę na „Niedzielę" i dokładne adresy wysyłać należy do Seminaryum Polskiego w Detroit, pisząc:

Office of „NIEDZIELA"
Polish Seminary.
DETROIT, MICH:

☞ Piszcie, o ile można, czytelnie. ☜

Łaskawego pośrednictwa w odebraniu przedpłaty na „N i e d z i e l ę" podjęli się następujący panowie:

W Detroit, Mich., Pan Władysław Maior, 781 St. Aubin Ave.
„ „ „ Jan Lemke, 823 St. Aubin Ave.
„ „ „ J. Piotrowski, 302 Canfield Ave. E.
„ „ „ Michał Pranga, 101 St. Joseph St.
„ „ „ Wojciech Siwa, 724 Riopelle St.
„ „ „ Emil Makowski, 790 Dubois St.
Milwaukee, Wis., „ M. Szarzynski, 414 Mitchell Ave.
E. Saginaw, Mich. „ Ignacy Poplewski.
„ „ „ „ Franc Mordec, Perkins St.
Lemont, Ill. „ Piotr Maday.
Elmira, N. Y. „ M. Budzikowski, 266 W. Hudson St.
Chicago, Ill. „ Adam Majewski, 664 Noble St.
Cleveland, Ohio, „ J. Małkowski, Woodland Cem. Office.
South Bend, Ind., „ Michał Duszyński, 1501 Fisher St.
Posen, Mich., „ Albert Klimaszewski.
Baltimore, Md., „ I. K. Zanto, 817 St. Ann St.
Buffalo, N. Y., „ A. Nowak, 1210 i 1212 Broadway St.
„ „ „ „ Antoni Chajewski, 39 Townsend St.
„ „ „ „ Leonard J. Kujawski 356 Peckham St.
Williamsbridge, N.Y. „ Franciszek S. Jarmuż.
W Duluth, Minn. „ Ignacy Idziorek, 1 W. Superior St.
„ Bay City, Mich. „ Michał Wojciechowski, 19th & Farragut
Grand Rapids, „ „ W. Dzieniszewski, 123 Jefferson St.
Brooklyn N. Y. „ Fr. Kuliberda 400 Carlton St.
Cleveland, Ohio. „ F. C. Kopciński 17 Dodge St.

☞ Ktoby życzył sobie w innych Stanach i Miastach podjąć się łaskawego pośrednictwa i bratniej usługi w tym względzie — niech raczy zgłosić się do Redakcyi listownie.

CZAS KOLEJOWY.

Wszystkie pociągi odchodzą według czasu kolejowego (standard time) t. j. 28 minut później niż czas Detroicki.

DETROIT, LANSING & NORTHERN KOLEJ ŻELAZNA. Stacya w Detroit przy końcu ul. Trzeciej.

Trzy eleganckie pociągi do Grand Rapids i nazad codziennie wyjąwszy niedzieli. Pięć pociągów Expresowych do Lansing iz powrotem codziennie wyjąwszy niedzieli. Wychodzą z Detroit rano o godz. 7.05—10.55. Po południu o g. 1.15; 4.50; 5.40—łączą się na Union Depot w Grand Rapids z Koleją CHICAGO & WEST MICHIGAN.

Pociągi z Grand Rapids odjeżdżają do Chicgago rano o g. 9.00 w południe o g. 12.05 i o g. 11.35 w nocy.—Czas podróży 5 godzin i 15 minut. Pociąg odchodzący z Grand Rapids o godz. 11.35 w nocy codziennie ma bez zmiany wagony sypialne, które przychodzą do Chicago o godz. 7.05 rano.

Pociąg wychodzący z Detroit o g. 1.15 po poł., przybywa do Grand Rapids o g. 5.15 wieczorem—zaraz się łączy z pociągiem C. & W. M. i przybywa do Manistee o g. 10.20 w nocy—do Traverce City o g. 10.59 w nocy—do Elk Rapids o g. 11,59 w nocy; do Holland przybywa o g. 6.25 po poł.; a do Muskegon o 7.35 wieczorem.

SAGINAW VALLEY & ST. LOUIS jest najkrótszą linią pomiędzy Grand Rapids i Saginaw. Pociągi odjeżdżają z Grand Rapids o g. 7.05 rano i o 4.15 po poł. Odchodzą z East Saginaw o g. 7.35 rano i o 5.55 po poł. Podróż trwa 4 g. i 15 m.

Wm. A GAVETT Agent Generalny w Detroit. Bióro biletów (Ticket Office) i towarowe znajduje się w gmachu zwanym Hammond Building—na dole numer 120 przy ul. Griswold—inne wejście jest także od ul. Fort. Telefon 368.

CHAS. M. HEALD, Gen. Mgr. w Grand Rapids.
GEO.l DeHAVEN, Gen. Pass'r. Agent w Grand Rapids.

NIEDZIELA

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA LUDU POLSKIEGO W AMERYCE.

Nr. 41. DETROIT, MICH., 12-go CZERWCA 1892 ROKU. TOM II.

Redaktor. Ks. Dr. Mieczysław Barabasz.



KRÓL SALOMON.

Z SIEWÓW NIEDZIELNYCH.

Na uroczystość Trójcy świętej.

przez Ks. K. A.

Jeden Bóg w trzech osobach: Bóg ojciec, który nas stworzył; Bóg syn, który nas odkupił; Bóg duch święty, który nas poświęcił. Jesteśmy więc w trojakim stosunku do Boga, jako do ojca, do zbawcy i do nauczyciela naszego. O jakże więc wielkie i święte są te obowiązki względem Boga w Trójcy jedynego, a jak straszny i obrzydliwy jest każdy grzech, który ten stosunek między nami a Bogiem zrywa i niweczy, który gniew i nieprzyjaźń Boską na nas ściąga! Rozbratawszy się z Bogiem, bratamy się z szatanem, tu środka nie masz; za życia w sercu naszem albo Bóg albo szatan; po śmierci albo niebo albo piekło.

Kiedy patrzymy na ten świat, który nas otacza, na tych ludzi, którzy wokoło nas żyją, ileżto pojawia się nam nędzy, biedy i smutków! Idźmy tylko od chaty do chaty i zapytajmy w każdej: Jakże się wam powodzi? to 99 powie że źle, a zaledwo setny powie, że dobrze.

I skarżyć się będzie ten gospodarz, że mu deszcz zalał zboże, inny: że mu zaraza bydełko zabrała; trzeci: że mu ogniem stodoła spłonęła i tym podobnie; matka ze łzami będzie opowiadać o śmierci dzieci: ojciec na ich niewdzięczność skarżyć się będzie; mąż przeklina żonę niewierną; żona męża pijaka; gospodarz na czeladź, czeladź na gospodarza; brat na brata, siostra na siostrę; sąsiad na sąsiada powstaje i narzeka. I wszyscy mówią: Oj źle, źle na świecie.

Że źle, to prawda i każdy to widzi. Ale dla czego źle? tego nikt wiedzieć nie chce. Źle na świecie, bo my źli jesteśmy; bądźmy lepszymy, a i na świecie lepiej będzie. Bo właściwie jest tylko jedno złe na świecie, złe w sobie, złe w skutkach swoich, a tem złem jest grzech. Wszystko inne dzieje się za wolą i dopuszczeniem Boskiem; a chociaż jest złe, Bóg to złe na dobre przemienić może. Z grzechu tylko jednego nic nigdy dobrego nie wyszło, ani wyjść nie może.

Gdy gorzkie lekarstwo wypijesz, powiesz: To lekarstwo jest gorzkie, przykre; ale nie powiesz, że jest złe, kiedy ono ciebie od choroby a może i od śmierci wybawi. Napijesz się trucizny, choćby najsłodszej i powiesz: Ta trucizna słodka, ale nie powiesz, że dobra: bo ona chorobę i śmierć sprawić może. Otóż wszystkie nieszczęścia i boleści, które Bóg na nas zsyła, są jakby gorzkie lekarstwo, które nam zdrowie i życie duszy powrócić może.

Wszystkie grzechy, które nam się tak słodkiemi wydają, są tą trucizną, która nas zawsze na duszy a często i na ciele zabija. My nigdy żadnej nie mamy przyczyny skarżenia i użalania się na Boga, ale tylko na siebie samych. Jeśli Bóg nas karze, to dla tego, że go zmuszamy do tego. Bóg nas karze i my wiemy, że tych kar przyczyną są grzechy nasze; a jednak poprawić się nie chcemy. A cóż by to było, gdyby nas Bóg nie karał? To byśmy już zupełnie o nim zapomnieli, a zapomniawszy o nim, cóżby się z nami działo? Oj, nie jednego już szczęście i dobre powodzenie zepsuło, nie jednego smutek i boleści do Boga nawróciły.

Weźmy przykład: Był na wsi (farmie) gospodarz zamożny, uczciwy, bogobojny, Boga się bał a ludzi kochał i wszystko mu się dobrze wiodło; tak Bóg widocznie na wszystkiem błogosławił. Wszyscy go we wsi szanowali, przychodzili do niego po poradę, naukę, zapomogę. On był przykładem dobrego gospodarza, męża, ojca. I żył szczęśliwie i wesół. Ale cóż się stało? Takto się w szczęściu o Bogu łatwo zapomina. I na naszym gospodarzu to się sprawdziło. Wszyscy mu się kłaniali, wszyscy pochlebiali; zaczął się w pychę podnosić i pomału od Boga odstępować, sądząc że się już bez Boga obejdzie. Coraz rzadziej i rzadziej uczęszczał do kościoła i do świętych sakramentów: ale coraz częściej mógłeś go widzieć w karczmie. Gospodarstwo zdał na kogo innego a sam objeżdżał wioski i miasta po całej okolicy. A jak to mówi przysłowie: J a k i p a n t a k i k r a m; za przykładem gospodarza poszła i gospodyni, za ojcem i dzieci. A ludzie mówili: Jakiż ten człowiek szczęśliwy? A Bóg mówił: Jakiż ten człowiek nędzny! Świat mu zazdrościł, a Bóg się nad nim zlitował i ulitował się nad nim zlitowaniem miłosierdzia swego. I zsyłał na niego nieszczęścia po nieszczęściu; stodoły piorun zapalił, łąki woda zalała, grad zboże wytłukł, przyszła i zaraza między bydło i choroby między domowniki, a dom jego, który dotąd był domem szczęścia i wesela, stał się domem smutku i płaczu. I ludzie mówili: Jakiżto człowiek nieszczęśliwy! i litowali się nad nim. Ale Bog się cieszył i błogosławił go; bo ten człowiek w nieszczęściu swojem i myślą i sercem i życiem do Boga się nawrócił, mówiąc do siebie: Bóg mnie karze, bom na tę karę zasłużył, zapomniawszy o nim i odstąpiwszy od niego; wrócę więc do niego i więcej już nie odstąpię. I co przyrzekł, tego dotrzymał. Bóg mu powtórnie błogosławił i pracy jego i odtąd żył i umarł w łasce Pana Boga.

Pytam więc teraz: Cóż dla tego człowieka było dobrem a co było złem? O bracia! my się tak lękamy każdego nieszczęścia, jakie może nas spotkać; ale tego największego nieszczęścia, abyśmy Boga nie obrazili, nic a nic się nie lękamy. Boisz się, abyś nie utracił majątku, a nie boisz się, abyś nie utracił nieba. Boisz się, aby ci jedna owieczka nie zginęła, ale nie boisz się, aby nie zginęła dusza twoja. Boisz się, aby cię śmierć nie rozłączyła na czas z tem, co kochasz, a

nie boisz się rozłączenia z Bogiem twoim na wieki, a tem samem z tymi wszystkimi co kochasz. Boisz się cierpieć przez dzień jeden, a nie boisz się cierpieć przez całą wieczność.

O pamiętajmy, że życie krótkie, bardzo krótkie, a wieczność długa, bardzo długa! Pamiętajmy, że tylko jedną duszę mamy, albo ją zbawimy, albo ją stracimy na wieki. O wszystkiem pamiętamy, tylko nie o tem, o czembyśmy ciągle i zawsze pamiętać powinni. My tak żyjemy, jak gdybyśmy nigdy umierać nie mieli, albo jakby po śmierci nie było ani Boga, ani sądu, ani piekła, ani nieba.

O gdybyśmy częściej o tem rozpamiętywali, to byśmy Boga tak często nie obrażali.

Dla czego nie lubimy myśleć ani wspominać o śmierci, o sądzie, o piekle? Dla tego, bo grzechy kochamy, a śmierć, sąd i piekło tylko dla tych są straszne, którzy grzechy kochają.

I mówią ludzie niektórzy: Grzech to nie jest tak wielkie złe; nie może być, żeby Pan Bóg miał po śmierci tak ostro karać za grzechy. Ale nie to jest prawdą, co ty sądzisz, ale to, co Bóg za prawdę osądził. Nie tak się stanie, jak mówisz, ale tak jak Bóg mówi.

A wiesz ty, co ty robisz, kiedy grzeszysz? Podnosisz bunt przeciw Bogu twemu. A czyżto jest mała rzecz? Czy to mała rzecz, kiedy dziecko bunt podniesie przeciw ojcu i matce, sługa przeciw panu swemu?

Co ty robisz kiedy grzeszysz? Przekraczasz przykazania Boskie, gardzisz rozkazem Boskim, sprzeciwiasz się woli Boskiej. Bóg ci mówi w przykazaniu swojem: Człowiecze! czyń to; a ty mówisz: Nie, nie uczynię. Bóg ci mówi: Nie czyń tego, a ty mówisz: Oto właśnie to czynić będę. Bóg ci mówi: Oto człowieku stworzyłem cię na to, abyś mnie kochał, chwalił, błogosławił; a człowiek odpowiada: a ja Cię Boże nienawidzieć, bluźnić, przeklinać będę. Ale ja ci za to obiecuję niebo. A człowiek odpowiada: A ja tem niebem gardzę. Gardzisz niebem, a jednak po śmierci o to niebo dopominać się będziesz.

Gdybyś naprzykład przyjął najemnika na to, aby ci pracował i przyrzekł mu zapłatę, a ten najemnik nietylko, żeby ci nie robił, ale połączywszy się z nieprzyjacielem twoim, lżył i znieważał ciebie; czyż taki będzie miał prawo upominać się o zapłatę i nagrodę?

A ty gdy staniesz na sądzie ostatecznym, cóż powiesz? Panie, stworzyłeś mnie dla siebie, a ja o Tobie przez całe życie ani wiedzieć nie chciałem. Tyś mnie odkupił krwią Twoją najświętszą, a ja tę krew zelżyłem grzechami memi. Tyś mnie oświecił światłem nadprzyrodzonem, a ja to światło dobrowolnie zagasiłem w sercu mojem, żyjąc w pijaństwie, rozpuście i rozmaitych innych grzechach. A teraz przychodzę dopominać się o nagrodę.

Ale Bóg ci odpowie: Pracowałeś na piekło, piekło niechaj będzie nagrodą twoją na wieki! O nędzny, lichy prochu, robaku ziemi, ty powstajesz na Boga twego, którego rozkazów słuchają i niebo i ziemia i wszyscy niebiescy duchowie?

Bóg ci mówi: Święć dzień święty; a djabeł ci mówi: A pocóż tobie iść do kościoła na mszę świętą, na kazanie? ja ci w karczmie lepsze powiem kazanie, które ci pewnie do smaku przypadnie.

Bóg ci mówi: nie będziesz brał imienia mojego nadaremnie: a djabeł coraz nowe wyszukuje przekleństwa i bluźnierstwa, a ty za nim powtarzasz.

Bóg ci mówi: Przepuść; a djabeł: Pomścij się. Bóg ci mówi: Kochaj, a djabeł: Nienawidź.

Masz dziesięć przykazań, wedle których wiesz, że Bóg sądzić cię będzie: a djabeł ma swoje przykazania, a tyś za niemi poszedł, wzgardziwszy przykazaniem Boskiem. Co Bóg nakazuje, djabeł zabrania i przeciwnie.

Tak Bóg mówi: Nie kradnij, nie zabijaj, nie mów fałszywego świadectwa, i t. d. a djabeł odzywa się: Kradnij, oszukuj, zabijaj, obmawiaj, oczerniaj, przysięgaj i t. d. A ty, idąc za namową złego ducha, chcesz aby ci Bóg nagradzał?

I mówisz: Jakżeto grzech może być tak wielkiem złem? Chcesz wiedzieć, jak wielkiem złem jest grzech? Zapytaj nieba; a niebo okaże ci tych aniołów, których grzech na szatanów zamienił i w bezdenne wtrącił przepaście. Chcesz wiedzieć, co jest grzech? Zapytaj piekła i mieszkańców jego. Chcesz wiedzieć co jest grzech? Zapytaj ziemi, ona ci wskaże ten potop, który ją zalał i tę Sodomę ogniem spaloną i te wszystkie boleści, klęski i nieszczęścia, które na niej ciążą.

Spojrzyj na grób, a on ci powie, że to grzech wprowadził śmierć na świat. Chcesz wiedzieć co to jest grzech? Popatrz na krzyż i zapytaj: Któżto jest ten, który tak boleśnie znosi męki? Oto syn Boży, który musiał przelać krew swoją do ostatniej kropelki, aby zadość uczynić za grzechy świata sprawiedliwości Boskiej. A ty jeszcze mówić będziesz, że ten grzech, który Boga-Człowieka przybił do krzyża, małą jest rzeczą?

I powiesz: A cóż to szkodzi, że ja zgrzeszę? Bóg dobry, odpuści mi to. O biada ci! jeśli tak mówisz. Czyż dla tego, że Bóg dobry, ty go dobrowolnie będziesz obrażał? Prawda, miłosierdzie Boskie jest większe nad wszystkie grzechy nasze, ale nie dla tego, który w nadziei tego miłosierdzia dobrowolnie grzechu się dopuszcza. Obiecał Bóg odpuszczenie grzechów, jeśli się z nich dobrze i szczerze wyspowiadasz, ależ czy to dobra i szczera spowiedź, kiedy nie myślisz o poprawie?

Spowiadasz się, żeś krzywdę wyrządził, a nie chcesz krzywdy nagrodzić. Chcesz się wstrzymać od grzechów, a okazyi grzechu unikać nie chcesz; to jest chciałbyś się nawrócić do Boga a nie odwrócić od djabła: chciałbyś jemu za życia, a Bogu po śmierci służyć; ale to tak nieuchodzi.

I mówisz: Ja się wyspowiadam a Bóg mi odpuści. Prawda, że co Bóg obiecał, tego i dotrzyma, ale tego ci Bóg nigdzie nie obiecał że ci da czas do wyspowiadania się. A gdyś wzgardził tylu łaskami jego, kto wie, czy ci tej największej nie odmówi łaski? Wielużto tak mówiło jak ty, a z tych ludzi może niejeden nagłą i niespodziewaną śmiercią, bez księdza, bez Sakramentów, zeszedł z tego świata. Oj w tak ważnej sprawie nie można żyć w niepewności, ale pokąd czas, korzystajmy z czasu, aby wkrótce po czasie nie było!

NA WĘZEŁ OJCZYSTY.

Nie wstydź się swego rodu.

Podczas wojen francuskich za Napoleona I. służył w wojsku pod ks. Józefem Poniatowskim wieśniak polski, nazwiskiem Komorek, i dosłużył się stopnia kapitana i orderu. Kompania, którą dowodził kapitan Komorek, powszechne zyskała pochwały. Książę Józef, który go znał dobrze, nie mogąc dłużej ukrywać swej radości. dziękował wszystkim oficerom, a wziąwszy Komorka pod rękę, rzekł do niego: ,,Kapitanie! Oddawna honorowem swojem postępowaniem zyskałeś mój szacunek i przyjaźń; óddawna chciałem ci powiedzieć to, co ci dziś powiem. Na polu walki dosłużyłeś się stopnia kapitana, odniosłeś kilka blizn i krzyż otrzymałeś. Dla mnie, dla tych, co cię bliżej znają, to dosyć, aby cię kochać i zostawać z tobą w zażyłości; ale dla świata to niedość, bo świat hołduje częstokroć nie zasłudze, cnocie, lecz czczym uprzedzeniom majątku, nazwiska, a tego ci właśnie brak. Rodzina twoja uboga, nieznana; przyjm więc odemnie radę jak od przyjaciela; porzuć rodzinne nazwisko, przezwij się Komorowskim, a ja ci wyrobię szlachectwo."

— ,,Nie, Mości książę" — odparł kapitan Komorek — ,,nigdy nie rozstanę się z nazwiskiem, które po ojcu odziedziczyłem; bo nie chcę, aby się tem szczycił Komorowski, na co sobie zasłużył Komorek."

Sozrzewniony i ujęty tem książę Poniatowski, z uwielbieniem uścisnął Komorka. Towarzysze broni znaleźli w tym szlachetnym sposobie myślenia nowy powód do poważania dzielnego wojaka.

Spowiedź Pana Korsaka.

(Ciąg dalszy.)

XIII.

,,Jam tych prawd nie rozumiał, i mnie się zda-
(wało,
Że chcąc ducha rozwinąć, trzeba zgnębić ciało,
Że gdy je całkiem zgnębię, że gdy zamrę w czy-
(nie,
Doskonalsza modlitwa z mej piersi popłynie,
Że szatan nie dosięże, gdy od niego stronim...
Pasowałem się z sobą jak święty Hieronim
Na bezludnej pustyni—lecz w tych walkach zgoła
Nie wyszedłem zwycięzcą jak Doktor Kościoła.
Duch mój pada—lepianka cielesna się kruszy,
Bom nie obliczył zdrowia ni sił mojej duszy;
Usta z głodu zczerniały, pierś pragnieniem gore,
Straciłem w rękach siłę i w nogach podporę;
Gdzie spojrzę, krwawe pręgi latają koło mnie,
Myśl wytężona k'Niebu rwie się bezprzytomnie;
Zapomniałem, kto jestem? gdzie jestem i po co?
Tylko głowa coś marzy, usta coś bełkocą,
Aż w dzikim szumie lasu sen objął mię złoty,
Utraciłem poczucie mej własnej istoty."

XIV.

,,Palon gorączką nie pamiętam zgoła
Jak wiele czasu przetrwałem w tym stanie...
Kiedym się ocknął—poglądam do koła:
Jam w wiejskiej chacie złożony na sianie,
A nad mą głową, czy widzę? czy marzę?
Zwisły dwie ludzkie nieznajome twarze.
W lnianej odzieży jasnooka dziewa,
Zarumieniona, to na przemian blada,
Pot mi ociera, do ust napój wlewa,
I patrzy w oczy, jakby życia bada.
Półwieczny wieśniak, siedzący koło niej,
Mego oddechu z natężeniem słucha:
Pokiwał głową, podparł się na dłoni
I buchnął dymem z krótkiego cybucha.
Twarz ogorzała, wąsata, brodata,
Lecz słodki uśmiech po czole mu lata;
Na silnych barkach miał sukmanę siwą,
Borsuczą torbę i przykrycie głowy;
U jego pasa był nóż i krzesiwo
I na rzemieniu kręty róg wołowy.
Patrzę się pilno... mniemałem, że roję:
Badam, czy żyję—lecz serce kolata;
Chcę mówić—słowa rozległy się moje;
—,,Kto wy jesteście? i jaka to chata?
,,Czemu nie jestem w pustelnej pieczarze?
,,Czym ja przytomny? czy ja we śnie marzę?"

XV.

,,Rzekł mi:—,,Ja jestem tutejszy gajowy,
,,A wasza miłość, nie wiem kto jesteście.
,,Leżałeś w lesie bez ducha, bez mowy
,,Całą godzinę—zagadałeś wreszcie
,,Coś bezprzytomnie, niby przy fortecy
,,Rycerz zajęty bojowem rzemiosłem.
,,Widząc, żeś chory, wziąłem cię na plecy
,,I do mej chaty, do córki zaniosłem.
,,Tutaj na sianie, to spałeś jak drewno.
,,Toś sobie jakieś przypominał zbrodnie.
,,Tak między życiem a śmiercią już pewną,
,,Myśmy was strzegli—całe dwa tygodnie.
,,A człowiek jakoś na puszczy dalekiej
,,Zna różne ziółka, i kwiatki, i trawy:
,,Wziąłem cię leczyć... i Pan Bóg łaskawy
,,Ot, jakoś proste powiodły się leki.
,,Kto waszmość taki, nie pytam się o to,
,,Boś jeszcze słaby, a mnie czas do dzieła;
,,Znaczno, żeś szlachcic—ej młoda słaboto!

,,Podziękuj Bogu, że niemoc minęła!"

XVI.

,,Tak, kędy serca proste, chata cicha, ciepła,
Choroba przemijała, a dusza mi krzepła;
Zszedłem z łoża niemocy.—- Dni za dniami biegą,
I chciałem już opuścić chatę gajowego,
Iść gdzie oczy poniosą na rozstajne szlaki,
Wybrać sobie pustynię albo klasztor jaki,
I tam resztę żywota spędzić na pokucie;
Lecz tu mię zatrzymało wdzięczności poczucie.
On mi życie przywrócił, on czuwał nad chorym.
Grzechby ciężki tak prędko rozstać się z Hreho-
(rym;
Ile ręce umieją, ile siła starczy,
Postanowiłem dzielić ich trud gospodarczy.
A to już była jesień—pomiędzy polany
Pustował w dzikim borze grunt niepoorany,
Bo gajowy pod starość rozleniwiał trochę,
Wołał pieski i strzelbę niż woły i sochę;—
Więc mi przyszła ochota, dziej się boża wola!
Poorzę mu, jak umiem, choćby zagon pola,
Przez to szlachecka ręka nie zhańbi się srodze —
Potem zboże posieję i płotem ogrodzę,
Jesień tu popracuję, a w zimowej dobie
Odejdę, zostawiwszy pamiątkę po sobie.
Jak się rzekło, tak stało. Z razu trudy marne:
Socha była mi ciężka, a woły nie karne,
Nieprawnemi rękami wiedzion pług zębaty,
Kroił ziemię w gzygzaki i w podarte szmaty.
Ale z pracą i na to znalazła się rada;
Już się w równiejsze skiby mój zagon układa,
Oswoiła się ręka z siekierą i z broną,
I grunt mego zasiewu zarumiał zielono.
A Hrehory i nierad, i rad, że mu służę,
Przepraszał mię, szlacheckiej dziwił się naturze,
Wybadywał, kto jestem? czy rodem ztąd blizko?
Chciał wiedzieć me przygody i moje nazwisko.
—,,I na cóż wam" —mówiłem— ,,moje straszne
(dzieje?
,,Pozwólcie, niech pracuję, niech nie leniwieję,
,,Niech dla ciebie poświęcę me siły młodzieńcze,
,,Za życie, za czuwanie, za chleb się wywdzięczę!"
Tak zbywałem pytania—a szkodując czasu,
Szedłem z sochą na pole, z siekierą do lasu;
I tutaj w pocie czoła wśród modlitwy bożej,
Och! gdyby spokój ducha, byłoby niezgorzej.

XVII.

,,Hrehory miał córkę — w wiośnianym dni
(kwiecie;
W borowej zaciszy wyrosło to dziecię,
Jak chmielu gałązka gdy wić się poczyna,
Lękliwa i żwawa jak leśna ptaszyna,
Jak leśna przylaszczka błękitne jej oko—
A duma poważnie—a wzdycha głęboko—
Czuwała przy mojej Łazarza pościeli.
Jak leśna wiewiórka póki się ośmieli,
Od wzroku truchleje, od ręki ucieka,
I znowu ci w oczy pogląda zdaleka,
I znowu się zbliży i z wolna och! z wolna
Oswoi się z człekiem figlarka swawolna,
Poczyna igraszkę—a czasem gdy łaska,
Na ramię ci wskoczy, oblicze pogłaska,
I znowu ucieka, po drzewach się wspina:
Tak samo nieśmiała, pierzchliwa dziewczyna
Wlepiała mi w oczy wzrok pełen rozkoszy;
To coś ją przynęci, to znowu odpłoszy.
Nie chciałem o serce dobijać się młode,
I wzrokiem zbrodniarza zatruwać swobodę
Niewinnych jej dumań.
Bywało gdy święto,
Ja siedząc oparty o kłodę wyciętą,
I z twarzą pochmurną jak dusza skalana,
Modlitwę pokuty zasyłam do Pana.
A ona swobodna jak motyl skrzydlaty,
Wybiega do lasu w jagody, po kwiaty,
Zatrzyma się przy mnie, popatrzy mi w oczy,
I głowę opuści, oblicze zamroczy,
Poduma—i z trwogą aż cofnie się zbladła,
Jak gdyby głąb piersi mordercy odgadła.
Bywało z siekierą gdy ręka mi słabnie,
Gdy skiby z pod sochy ścielą się niezgrabnie,
Gdy kosa nierówno uderza po trawie.
Śmieje się dziewczyną i pyta ciekawie:
—,,Ej Kuźmo! kto jesteś? i z jakiej ty strony?
,,Jak starzec posępny, jak szlachcic pieszczony—
,,Prawdziwe chłopaki, to u nas nie tacy:
,,Ochoczy w zabawie, a dzielni do pracy.
,,Czy wiesz co? zapomnij twej wioski dalekiej,
,,Tu zostań na długo... na długo, na wieki,
,,A wtedy obaczysz... odżyjesz w tym lesie:
,,Tu praca i siłę i zdrowie przyniesie;
,,Tu będziem pracować, tu będziem się śmieli,
,,Dla ciebie tu zdrowiej, a dla nas... weselej."
—,,Pozostań tu z nami"—raz mówił Hrehory—
,,Ja codzień to gorzej i stary i chory,
,,I w lesie i w chacie coś idzie nieskładnie,
,,A jak ty odejdziesz, i ten ład przepadnie!
,,Ot ja ci po prostu swe myśli odkryję:
,,Marya cię lubi—ty lubisz Maryę,
,,Choć, widzisz... pustota jej trzyma się głowy,
,,Ty mruczysz poważnie jak niedźwiedź borowy;
,,Lecz widzę was dobrze... czy w polu, czy w cha-
(cie,
,,Wy sami nie wiecie, że wy się kochacie.
,,Więc przyjdźcie tu do mnie, o zgodę poproście,
,,Pójdziem się pokłonić we dworze starości,
,,Wyprawim sowite wesele i tany,
,,I będziesz mym synem, mój Kuźmo kochany.
,,Ty strzelasz niezgorzej, widziałem już próby,
,,A ja ci przekażę myśliwskie sposoby,
,,I strzelbę żwirówkę, poczciwe narzędzie—
,,Zostaniesz tu strzelcem... i dobrze ci będzie."

XVIII.

,,Tak mi mówił Hrehory—a ja zdrętwiał cały,



PAWILON STANU MICHIGAN NA WYSTAWIE WSZECHŚWIATOWEJ W CHICAGO.



NARODOWY TANIEC GRECKI.

Uśmiechnąłem się niby, i łzy się polały......

....

Gdy na mnie piorun boży gotują ich żale,
Jażbym tutaj o szczęściu śmiał myśleć zuchwale?
Nie... ucieknę! ucieknę do mojego sioła,
Jak mi kapłan rozkazał, jak sumienie woła.
Rzucę herbową pychę... o! dosyć jej, dosyć!
Dziś umiem, dzięki Bogu, i orać i kosić.

....

XIX.

,,Tak świętej powinności przejęty zapałem,
Do rodzinnego sioła pieszo wędrowałem;
Z kijem, z torbą obszedłem okoliczne strony,
Niby żebrak roboty i chleba spragniony.
Zwiedziłem dom ojczysty — co zmian w krótkiej (chwili!
Nowy dworzec postarzał, rodzice nie żyli,
Moja siostra władała i dworem i siołem;
O mnie mówili ludzie, że w boju zginąłem.
Młodszy mój brat przed królem stanąwszy przy- (tomnie,
Chorążostwo połockie odziedziczył po mnie,
W domu ojców nie zgadli, kto snadź ten ubogi,
Własny brytan myśliwski szarpnął mnie za nogi,
A nawet mnie nie poznał ni z twarzy, ni z mowy
Stary szafarz—mój niegdyś luzak obozowy.
On popatrzył mi w oczy, na twarz, na łachmany,
Podał mi chleb razowy i szeląg miedziany,
I westchnął stary kamrat pancernego znaku:
,,Za duszę Kaźmirzową pomódl się żebraku!"
Rzekł i odszedł powoli.
O strono domowa!
Więc tu jeszcze ktośkolwiek moją pamięć chowa!
Ale nikt mię nie poznał—czy twarz moja blada?
Czy czarna gęsta broda, co na piersi spada?
Nie odgadli żebraka w progach jego domu,
A jam się nie dał poznać nikomu... nikomu.

(Dokończenie nastąpi.)

O ZŁOTYCH TŁACH.

SOSNA.

Na wioskowych mogiłach
Rosła sosna borowa,
Pień jej krzepnął na siłach,
Wybujała jej głowa.
Pogiętemi konary
Na sto sążni rozwisa,
A korzeńmi bez miary
Żółty piasek wysysa.
Z mogił wyrosłszy cała,
Za te soki, co bierze,
Z wiatrem sobie szumiała
Za umarłych pacierze.

Aż coś jednej jesieni
Biedna sosna borowa
Coraz mniej się zieleni,
I pożółkła jej głowa.
I została na stronie
Codzień cichsza, milcząca,
Każdy wietrzyk, co wionie,
Więcej kolców z niej strąca;
Rzuca w ziemię rodzimą
Zeschłe szyszki i ziarna...
W końcu — jeszcze przed zimą
Zeschła sosna cmentarna.

Wiatr żałośnie jej pyta:
—,,Biedna sosno z mogiły!
,,Czyś ty gromem przebita?
,,Czyć robaki stoczyły?
,,Czy ci żeru nie było
,,W żółtym piasku z poblizka?
,,Albo kamień swą bryłą
,,Twe korzenie naciska?"

—,,Och! mnie nie tknął grom z burzą
,,I robaki nie toczą;
,,Ziemia soków ma dużo
,,I mnie karmi ochoczo.
,,Gdzie kamienie i głazy,
,,Szłam z korzeńmi z daleka;
,,Wrosłam — gorzej sto razy!
,,W trumnę złego człowieka!
,,Trumna zgniła na próchno,
„Zgniły w piersiach mu błonki,
,,W serce trupa leciuchno
„Zapuściłam korzonki.
„Chłód mię przebiegł grobowy,
,,Gdym possała zeń trocha:
,,Bo to człok był takowy,
,,Co nikogo nie kocha!
,,Pierwsze z piersi swej soki
,,Dał cmentarnej choinie;
,,Czułam, jak z tej opoki
,,Brzydki we mnie jad płynie.
,,Z jadem śmierci w mem łonie
,,Byłam smutna, milcząca...
,,Każdy wietrzyk, co wionie,
,,Więcej kolców mi strąca.
,,Próżno w ziemię rodzimą
,,Nowe rzucać chce ziarna...
,,Ziarna zeschły — przed zimą
,,Ginie sosna cmentarna!"

W. Syrokomla.

ŚWIĘTY KRZYSZTOFOR.

(Legenda.)

W trzecim wieku ery chrześcijańskiej żył w odległej krainie afrykańskiej olbrzym, imieniem Krzysztofor, posiadający niesłychaną moc i siłę do tego stopnia, że idąc na polowanie częstokroć walczył sam jeden z najdzikszemi zwierzętami i pokonywał je. Widząc się silniejszym od wszystkich synów człowieczych, poprzysiągł upokorzyć się jedynie przed istotą najpotężniejszą; w tym celu udał się do króla Ikos, rządzącego wielkiem państwem, słynącego z męztwa w boju, z rozumu w radzie, sprawiedliwości w kraju, a który był zarazem postrachem sąsiednich mocarzy Ci, dla położenia kresu jego zwycięztwom, sprzysięgli się i połączyli przeciw Ikosowi, grożąc wtargnięciem w jego granice z niezliczonemi wojskami. Krzysztofor, zbrojny maczugą, wyszedł na ich spotkanie. Na widok olbrzyma najodważniejsi rycerze nieprzyjacielscy zadrżeli zdjęci trwogą, a doświadczywszy jego ciosów pierzchnęli, jak niegdyś Filistyni przed Samsonem, porzucając broń, konie i wszystkie bogactwa.



Upokorzony szatan opuścił głowę i ulegając niewidzialnej potędze, szepnął mimowolnie: —Potężniejszy od całego stworzenia!

Krzysztofor stanął przed królem, ten obsypał go darami i łaskami i pragnął zatrzymać na zawsze przy swym tronie. Razu pewnego, gdy byli sami: król zadumawszy się rzekł: „Gdyby szatan chciał mi dać Memfis, zapisałbym mu mą duszę."

— A któż to jest—ten szatan? —zapytał go Krzysztofor—jestże on potężniejszy od ciebie, potężny królu?

— Król odrzekł mu ponuro: — Nikt z ludzi, nie posiada cząstki jego władzy.

— Jeżeli tak, odpowiedział Krzysztofor, żegnam cię królu: biegnę do niego, ponieważ poprzysiągłem służyć najpotężniejszemu. — I powędrował, a król nie śmiał go zatrzymywać.

Krzysztofor poszedł, zapytując przechodniów, gdzieby znalazł szatana; nie wiedział bowiem, że zły duch krąży około nas bez ustanku, a kto go szuka, łatwo się z nim spotka. Olbrzym zakłopotany wszedł do gęstego i ponurego lasu; w tem nagle stanął przed nim potwór i zawołał: — Jestem ten którego szukasz, pójdź, przystań do mnie, jam jest potężniejszy od całej ziemi! — Jakoż zdziwiony Krzysztofor widział, że odwieczne dęby chyliły się przed nim jak trzcina, a ziemia jęczała pod jego stopami. Szedł więc za nim, wędrowali długo, bardzo długo. Szatan rozkazywał, a Krzysztofor, jako posłuszny niewolnik, wykonywał jego zlecenia. Bóg jeden wie, ile biedny Krzysztofor nabroił złego, ulegając djabelskim pokusom.

Aż dnia jednego, idąc gościńcem, szatan zastanowił się na widok pagórka, na którym coś stało; potem odwrócił się z dreszczem i zgrzytaniem zębów i obszedł z dala pagórek.

— Jakąż ty drogę wybierasz?— zawołał zdziwiony Krzysztofor, czy się lękasz tego tam drzewa?

— To nie drzewo, to krzyż, na którym umarł wróg mój najstraszliwszy.

— Kiedy już umarł, czego więc drżysz i lękasz się?

— On zwyciężył śmierć, — rzekł szatan z wściekłością,—zwyciężył ją i zmartwychwstał!

— Drżysz, więc się go boisz, jest przeto silniejszy i potężniejszy od ciebie!

Upokorzony szatan opuścił głowę i ulegając niewidzialnej potędze, szepnął mimowolnie: — Potężniejszy od całego stworzenia!

— A kiedy tak, żegnam cię djable—zawołał Krzysztofor—biegnę do niego, ponieważ przysiągłem służyć najpotężniejszemu. — Szatan chciał go zatrzymać, lecz padł bez sił i woli, krzyż zagradzał mu drogę.

Krzysztofor błąkał się długo, szukając Chrystusa Pana naszego; przez góry i doliny, lasy i pustynie, przebywał rzeki i morza, a nikt nie umiał mu odpowiedzieć, gdzie mieszka Chrystus. Razu pewnego odpoczywając nad strugą. ujrzał pustelnika pochylonego przed krzyżem; uradowany, przystąpił do niego i rzekł, że pragnie służyć temu, który umarł na krzyżu.—Synu! odpowiedział starzec — aby mu służyć, trzeba się modlić i pościć.



Nieśli oni do stóp Pana duszę Ś. Krzysztofora.

— Ja miałbym pościć, czcigodny ojcze? zawołał olbrzym—spojrz na mnie i osądź! ja potrzebuję wiele, bardzo wiele pokarmów; a modlić się nie umiem; powiedz mi, co mam czynić, podaj sposób jaki, wskaż inną drogę!

— Synu — rzekł sługa Boży—jest jeszcze inny środek służenia Chrystusowi: ,,czyń dobrze braciom twoim!" Bóg obdarzył cię zdrowiem i siłą, idź na brzeg rzeki płynącej w głębi tej doliny; częstokroć biedni podróżni wycieńczeni i znużeni drogą stają nad nią a nie mogąc jej przebyć, muszą daleko okrążać; bierz ich na barki i przenoś na brzeg przeciwny; czyniąc to, będziesz służył Chrystusowi, a On cię pobłogosławi!

Krzysztofor usłuchał, odtąd przenosił podróżnych, a jeśli który chciał go obdarzyć wynagrodzeniem, nie przyjmował takowego, lecz mawiał:—Bracie, módl się za mną i za mnie do Pana naszego, który jest w Niebie; ja modlić się nie umiem!

Upłynęło lat wiele, Krzysztofor się zestarzał, włosy i brodę okrył mu szron, następnie mleczna białość, lecz wiek nie pozbawił go sił; codziennie tę jedynie zanosił prośbę do Pana, aby jak najdłużej mógł być użytecznym swym braciom.

Pewnego zimowego wieczora, gdy lał deszcz ulewny i dął gwałtowny wicher, olbrzym ujrzał biedną dziecinę drżącą od zimna i na wskroś przemokłą, która dążyła na drugą stronę rzeki. Dobry Krzysztofor,

zdjęty litością, pocieszał dziecię łagodnemi wyrazami, okrył swą siermięgą, i nie zważając na słotę, wziął na barki, aby je przenieść; lecz zaledwie postąpił kilka kroków w rzece, uczuł, że ramiona jego gięły się pod niezwykłym dla nich ciężarem; burza wzmagała się, wiatr wył przeraźliwie, pioruny trzaskały, ziemia się trzęsła w swych posadach. Przerażony Krzysztofor zawołał:— Dziecino, cięższysz jak świat cały! — Nagle burza ustała, niebo się wypogodziło, zajaśniało słońce i posłyszał głos niebiański, który doń wyrzekł: — Nie dziw się i nie lękaj Krzysztoforze, jam stworzył świat! — A Krzysztofor odwróciwszy głowę, ujrzał „Dzieciątko Jezus", które go błogosławiło, i uczuł się uniesionym w górę. W tej samej chwili pobożny pustelnik, modlący się w pobliżu, ujrzał chór aniołów ulatujący ku Niebu. Nieśli oni do stóp Pana duszę Świętego Krzysztofora.

Kwestarz.

Około wieczora, a był wieczór majowy, siedział stary Wojciech, kołodziej, na podwórzu pięknej zagrody swojej. Był to zawołany w całej okolicy rzemieślnik i niepospolity gospodarz, a przytem tak pracowity, i pobożny i mądry, że ludziom był miły i od Boga ubłogosławiony. Nikt takich dobrych kół i dyszlów nie robił, jak on, i dla tego zarzucony był obstalunkami. Poruczywszy starszemu synowi gospodarstwo, oddał się cały rzemiosłu swemu. Na dziedzińcu stały duże zapasy suchego materyału: brzosty, buki, graby i dęby. Był właśnie wieczór sobotni i Wojciech śpieszył, aby przyobiecaną na poniedziałek ukończyć robotę, a nabijając sprychy do koła, ulubioną nucił piosenkę:

Koło goni, koło dzwoni,
Aż pęknie i stanie;
Serce boli, myślą goni,
Aż i bić przestanie.

Bo przez różne progi, drogi
Koło się potoczy;
Czyś bogaty, czyś ubogi,
Śmierć cię w grób zatoczy!

Różne sprychy w mojem kole,
Różne w życiu chwile,
Różne szczęścia, różne bóle
Ucichną w mogile.

Dzięki Bogu! już i robota ukończona; godzi się trochę wypocząć. A to mówiąc, poczciwy kołodziej rzucił się pod cień rozłożystego jaworu, a dobra żona z dziatkami tuż przy nim usiadła. Odmówmy koronkę do Matki Boskiej, zanim wieczerza się zgotuje. I poczęli się modlić; ale wtem turkot ciężko naładowanego wozu dał się słyszeć, i wszyscy zwrócili oczy ku drodze, która wężykiem ze stromej góry do wioski prowadziła. A któżto tak późno przyjeżdża do naszej wioski? Pobiegnij Jasiu i zobacz, bo przez te bzy tak gęste trudno co rozpoznać. Poskoczył Jaś i zawołał: „Tatulu! to dobrodziej Marek, poznałem go siedzącego na wierzchu dobrze wyładowanego wozu, zapewne z kwesty powraca do klasztoru. Niech będzie Bóg pochwalony za jego przybycie! Zawsze się w sercu robi cicho i swobodnie, kiedy go widzę, rzekł Wojciech: bo to sługa Boży, jakich mało; pokorny, wesół i pobożny, a jak o Panu Bogu zacznie mówić, toby go człowiek rad i całą noc słuchał." A któżto jest ten kwestarz? zapyta może niejeden z was czytających. Oj, żebyście byli z tej Radomskiej okolicy, tobyście o to nie pytali, bo któż tam jest, ktoby nie znał brata tego, kwestarza z klasztoru Ojców Reformatów? Nie masz w całej okolicy kościoła, w którymby on się nie modlił; nie masz krzyża i figury, przed którąby on nie był klęczał; nie masz dworu i zamku, gdzieby był nie znany i nie kochany. Bo niechaj mówią ludzie co chcą, jest jeszcze wiara i miłość Boga w kraju naszym, a dowodem tego Marek kurzem obsypany, z kapturem na głowie, w grubym i łatanym habicie, wszędzie miłym i pożądanym jest gościem! On milcząc i modląc się, chodzi po całym kraju wszerz i wzdłuż, jakby jakie żyjące kazanie, ucząc, że ubóstwo jest skarbem, pokora chwałą, a prostota mądrością! Że praca daje wesołość, a miłość Boga rodzi miłość ludzi. Widziano już nieraz w bogatych komnatach ubogiego Marka i nie jedno już słówko pociechy i nauki wyszło z jego ust. On z wdzięczności przyjmował dary ziemi, co mu ofiarowano, a w zamian użycza darów nieba z błogosławieństwem przywiązanem do słów: „Cokolwiek jednemu z tych najmniejszych uczyniliście, toście mnie uczynili! — a kto przyjmuje sługę Boga w dom swój, ten przyjmuje samego Pana Jezusa!" A gdy Marek dobrze zaopatrzony wyjeżdża z jakiego dworu, to on więcej zostawia, jak wywozi. Nie zubożeje dwór dla jednego połcia słoniny, dla berbeniszki sera lub faski masła, dla kilku ćwiartek zboża lub ziemniaków, ale zbogaci się błogosławieństwem Pana Jezusa mówiącego: „Dajcie, a będzie wam dano!" Zbogaci się opieką świętego Franciszka Serafickiego, który wyprosi u Boga wiele łask dla tych, którzy dzieci jego łaskawie w dom swój przyjmują. Oj, bo to dziwny i wielki święty był ten święty ojciec Franciszek! On tak chciwie pragnął ubóstwa, jak to inni pragną majątku; on się tak bał mieć „coś", jak inni boją się mieć „nic." Ubogi, pokorny, szedł w ślady za ubogim, pokornym Jezusem, i dla tego nosił na rękach i na nogach i na boku wypiętnowane cudem bożym znaki ran Zbawiciela Pana, ale je wprzód już miłość Boga wypiętnowała na sercu jego. Jak ojciec Seraficki wiernym był naśladowcą Chrystusa, tak i Marek wiernym był naśladowcą świętego Franciszka, patryarchy tego zakonu. Oj, świat tej mądrości ewangielicznej nigdy nie pojmował i nie pojmie, jakto można w ubóstwie, w prostocie i poniżeniu u świata żyć wesoło i być bogatym i szczęśliwym! Ileż to w życiu klasztornem jest pociech szczęścia, o których świat ani wie! I wyszedł Wojciech przeciw bratu Markowi. Stanął wóz przed bramą podwórca, właśnie gdy Marek kończył swój różaniec, bardzo misternie z sęków jodłowych własną jego ręką wytoczony, a z pod kaptura, jakby gwiazdy z pod chmury, oczy jego w jasny nieba patrzały błękit. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! A jakże się macie, panie Wojciechu? Jużeśmy się to dawno nie widzieli; jeszcze w Radomiu na odpuście. A cóż, czy robota klasztorna gotowa? wasąg i koła do wozu; bo widzicie, że i teraz ciężko mi będzie do domu dojechać; w takiej posusze to wszystkie sprychy się zeschły, a Pan Bóg dobrze wóz wyładował i jakoś pomoże, aby do klasztoru szczęśliwie dojechać. Robota ukończona, odrzekł Wojciech, i w poniedziałek sam do dobrodziejów odwiozę, tylko proszę zleść z wozu i obejrzeć. Nie wzgardzicie przecież ubogim domkiem naszym, i koniki pomęczone, znajdzie się dla nich wiązka siana, a i wóz zdałoby się nasmarować. A to mówiąc, mrugnął na Jaśka, a on od razu zrozumiał ten znak. Usiadł Marek pod cieniem jaworu, a koniki rozkiełznane gryzły pachące sianko. Wojciechowa poszła do izby, aby spory kawał masła dodać do jęczmiennej kaszy; małe dziewczęta usiadły na ziemi, bawiąc się mosiężnym krucyfiksem u różańca Marka.

Dawnoście też w tych stronach nie bywali, dobrodzieju! a skądże teraz wracacie? Byłem na Podolu, nad brzegami Dniestru. A cóż tam słychać nowego? Ot wszędzie to samo! kto Boga kocha, temu zawsze dobrze, a kto go nie kocha, temu zawsze źle; czy on pan, czy chłop, czy rzemieślnik, czy żebrak; bo Pan Bóg na to nas stworzył, abyśmy go kochali, bo wszyscy Jego dziećmi jesteśmy; a kto nie kocha, ten jest jakby umarły. Ej, takbyć to człowiek chciał kochać Pana Boga, odrzekł Wojciech, ale nie wie jak się to wziąść do tego. Człowiek wzrósł w pracy, i tylko sie kierę ale nie książkę ma w ręku. Dzięki Bogu! katechizm dobrze umiem, bo mnie tego mój ojciec nieboszczyk i ksiądz proboszcz nauczyli, a matka, jak to na koronce się modlić; ale jednak łatwiejby to było, gdybym mógł na książce Pana Boga chwalić. Dla tego dzieci moje pilnie do szkoły posyłam, bo też nam Pan Bóg dał dobrego organistę, co je uczy, zapewne go znać musicie? Znam go dobrze, odezwał się Marek, i bardzo to dobrze, że dziatki do niego na naukę posyłacie; ale o siebie to się nie troszczcie. Każdy niechaj chwali Pana Boga jak może i jak umie: bo cała mądrość człowieka to nie w rozumie, ale w sercu. Bo widzicie, serce to jak obraz, a rozum to jak ramki do obrazu; cóż pomoże, że ramki złote, jeźli obraz szpetny, a piękny obraz to i bez ramek piękny pozostanie. Wszakże to i u nas w klasztorze rozmaici są ludzie. Jedni ciągle siedzą nad książkami, drudzy spowiedzi słuchają, inni prawią kazania i katechizmu uczą; są braciszki klasztorni tak jako i ja, i jedni z nas jeżdżą po kweście, drudzy to przy kuchni, to przy fórcie, to przy ogrodzie, to przy zakrystyi; grają na organach, szyją suknie, kopią grzędy, i rozmaicie, jak tam posłuszeństwo każe. A jednak wszyscy Pana Boga kochamy i Jemu służymy, a każdy z nas chwali Go jak może i jak umie. Wszakże i w całej naturze toż samo się dzieje. Nie każda ptaszyna jest słowikiem; są i wróble i skowronki i wrony i bociany; nie każdy kwiatek jest różą; są i piwonie i lilije i słoneczniki i barwinek i macierzanka; a jednak każde stworzenie jak może Bogu swemu cześć i chwałę oddaje. Pan Bóg nie potrzebuje naszej mądrości, ale wymaga naszej miłości. Ten mądry, kto Boga kocha; ten głupi, kto Go nie kocha! Słuchał Wojciech z pilną uwagą, a brat Marek ciągle o Bogu rozprawiał i różne przytaczał ciekawe historyjki. I tak n. p. święty ojciec Franciszek zwykł był wieczorem chodzić do lasku koło klasztoru, dla odmawiania wieczornych pacierzy. A gdy ptaszęta gromadnie zebrane po krzewach i drzewach świstały i świegotały rozmaitemi głosami, on cierpliwie słuchał tego gwaru i cieszył się, że i ptaszęta Bogu cześć oddają. Ale po chwili donośnym do ptasząt odzywał się głosem: ,,No, dość już tego śpiewu; jam milczał, a wyście Boga chwaliły, teraz wy milczcie, a ja pocznę Boga chwalić," I sza, cicho, w momencie ptaszęta umilkły i słuchały, jak sługa boży wieczorne odmawiał paciórki.

Księżyc jasno świecił na niebie, a brat Marek dla jutrzejszej niedzieli musiał wracać do klasztoru. Pożegnał, pobłogosławił, podziękował za gościnność, a zasadziwszy kaptur na głowę, ruszył ciężkim wozem ku klasztorowi. Wojciech patrzył długo, pokąd przy zakręcie drogi wóz z ócz nie zniknął i rzekł do żony: ot nie orzą, nie sieją, a Bóg nie da im ginąć od głodu i zimna! Nie orzą, nie sieją rękami, dodała Wojciechowa, ale rozsiewają naukę Chrystusa słowem i przykładem, i zbierają pełne snopy zasług nieba! Sami ubodzy z ubogim się dzielą; sami z jałmużny żyją, a niejeden przy nich się pożywi. Bo oni dobrze pamietają na te słowa: ,,Dajcie, a będzie wam dane.'' A ludzie co próżnują i hulają po całych dniach i nocach po karczmach i jarmarkach, mówią, że to zakonnicy próżniacy; oj, daj nam Boże takich próżniaków jak najwięcej, toby oni nas nauczyli, jak to żyć i pracować na chwałę bożą i duszy zbawienie!

WIEŚCI ZE ŚWIATA

W powiecie augustowskim w Król. Polskiem jakaś szajka łotrów usiłuje okradać kościoły. W Augustowie wyłamała boczne drzwi, lecz nic nie zabrawszy zbiegła; tak samo w Szczebrzu, próbowano do miejscowego kościoła parafialnego wyłamywać drzwi i okna, lecz zamach nie przyniósł żadnych rezultatów, gdyż złodzieje zbiegli — no i jak najczęściej, policya ich odszukała.

Rzym 24 maja. Kardynał Ledóchowski, obecnie prefekt propagandy, wystosował pismo do biskupów Stanów Zjednoczonych, w którem występuje przeciwko systemowi agitowania w gazetach i na zgromadzeniach, podczas opróżnienia stolic biskupich. Sposób obsadzania biskupów postanowił raz na zawsze trzeci synod w Baltimore (1889), a zatwierdziła je Stolica Apostolska, która ma decydujący głos. Agitacye uliczne wpłynąć na nią nie mogą.

Rzym. Wyszedł z druku rocznik Propagandy zawierający sprawozdanie z działalności tej Kongregacyi za czas od 23 maja 1891 do 13 marca 1892, a także spis nazwisk kardynałów-prefektów i prałatów-sekretarzy Propagandy od czasu jej założenia aż do tego czasu. W liczbie prefektów jest dwóch Barberini'ch, jeden Borgia, założyciel słynnego muzeum Borgi'ów; Consalvi, słynny dyplomata i minister; Capellari, później Grzekórz XVI, Barnabo, Franchi, Simeoni.

Wśród sekretarzy figurują: Casanate, znany założyciel biblioteki, Brunelli, uczony Mezzofanti, znakomity Angelo Mai i inni.

W skład ś. Kongregacyi oprócz kardynała Ledóchowskiego, generalnego prefekta, i kardynała de Ruggiero, prokuratora, wchodzi 25 kardynałów, mgr. Persico, sekretarz i 45 prałatów i konsultorów. Wydział specyalny dla obrządków wschodnich, również pod prezydencyą kard. Ledóchowskiego zostający, zawiera 14 kardynałów, sekretarza msgr'a Aiuti i 30 prałatów, konsultorów i tłómaczów. Dalej rocznik daje poznać dokładnie stan missyj na całym świecie, tak obrządku łacińskiego, jako i obrządków wschodnich.

Zawiera też sprawozdanie wykaz wszystkich seminaryów, kollegiów i szkół, od Propagandy zależnych i przez nią utrzymywanych tak w Rzymie, jak i po całym świecie. Kończy się rocznik podwójnym spisem alfabetycznie ułożonym: jeden zawiera wykaz wszystkich missyj po różnych krajach, a drugi nazwiska missyonarzy, którzy je obsługują.

Socyalistyczna rada municypalna w Marsylii rozpoczęła swoją działalność od tego, że zakazała odbywania katolic-

kich procesyj, które zwyczajowo były w Marsylii organizowane od kilku stuleci na pamiątkę wielkiej zarazy, jaka niegdyś nawiedziła miasto.

Oszustwo i świętokradzkie „poświęcenie kamienia" w Detroit.

Łatwo pisać o d o b r e m, kiedy sam przedmiot pociąga i swobodnie za sobą z posłusznem piórem dziennikarza prowadzi; łatwo oceniać i unosić się nad jakimś czynem szlachetnym człowieka, kiedy jak gwiazda dobrego przykładu promienieje śród zwyczajnych jednostek na świecie i budzi nadzieję zachęty do naśladowania dla innych; łatwo wreszcie wspominać i o wypadkach nawiasem, jakie się na tle życia niewinnych osób czy społeczeństw wydarzą, ale pióro to samo w ręku zadrży niechybnie i z bojaźni drżeć będzie do końca, ilekroć wyrazy o zbrodni z konieczności kreślić mu wypadnie. Szczęśliwy, kto od takich — wolny obowiązków! Niestety! szczęście to i spokój ducha — tak drogi — dziś nie do mnie, kronikarza „N i e d z i e l i" niniejszej, należy!

Wolałbym, mówiąc szczerze, milczeniem pominąć, o czem pisać dziś muszę ze wstrętem; radbym pisał o cudownem raczej nawróceniu się znanego w Detroit upadłego kapłana, aniżeli o dalszem jego, i bogdaj ostatniem, świętokradztwie publicznem. Trudna rada! Fakt zarówno doniosły w naszem mieście jak ujemny i brzydki, a przytem stanowisko redaktorskie i obowiązek przestrzegania Czytelników na przyszłość, w tym razie każą mi zrobić ze siebie ofiarę i pióro, jakkolwiek niechętne, przeprowadzić za myślą nad cuchnącym kałem. Sądzę, że pobudki i obowiązku spełnienie usprawiedliwią mię w oczach Publiczności Szanownej, której właśnie mam zamiar przedstawić, jak daleko człowiek, a nawet i kapłan w zło zapuścić się może, kiedy raz zerwie z prawowitą Władzą i wyjdzie po za obręb Katolickiego Kościoła.

Ks. Dominik Kolasiński. jak wiadomo, już dawniej wypowiedział był tu posłuszeństwo ks. Borgessowi, Biskupowi swojemu, którego wszakże słuchał i szanował, jako Dyecezyi Zwierzchnika, dopóki cieszył się względami i łaską. Po otrzymanej kilkakrotnie naganie za nadużycia kapłańskiego urzędu i ufając w przywiązanie do siebie poczciwego ludu polskiego, postanowił był wkońcu stawić opór Biskupowi otwarcie, wskutek czego wynikły owe zaburzenia pamiętne, o których prawie wszystkie dzienniki tak w Ameryce jak i w Europie przed kilku laty pisały. Śród zaciętej walki Biskup odniósł smutne wreszcie zwycięstwo i wydalił z Detroit upadłego moralnie księdza Dominika; lud zaś przyjął w części rozporządzenie Pasterza— część pozostała w uporze. Po trzechletnim pobycie na Północy Dakoty—wraca ks. Kolasiński do swych dawnych, wiernych sobie, parafian i niezależnie od Biskupiej Władzy, na własną rękę buduje kościół w Detroit. By utrzymać tę część katolików polskich przy sobie, zmyśla czy raczej podrabia papiery i uroczyście zapewnia, że przybył tu do nich z władzą daną mu wprost od Papieża — a Biskupowi katolickiemu na przekor. Lud w naiwnej prostocie wierzy zapewnieniom i cieszy się, że tak „dostojnego" posiada proboszcza; ten zaś, by pokazać swą odwagę i wielkość, imieniem ś. p. Biskupa Borgessa nazywa publicznie psa swojego „borgess".

Ile hańby, zgorszenia i świętokradztw—trudno tu wyliczać! Bez władzy do sprawowania kapłańskiego urzędu, obłożony karami kościelnemi i przez Biskupa miejscowego uroczyście wyklęty, mimo upomnień J. Em. Kard. Ledóchowskiego i Simeoniego ze Rzymu, parafianom swoim udziela sakramentów św., odprawia nabożeństwa, spowiada, komunikuje, grzebie, wkłada oleje na chorych (nb. oleje nie święcone przez żadnego Biskupa) itd. itd., a wszystko to sprawuje na mocy władzy, jak kłamliwie sam twierdzi, wprost otrzymanej ze Rzymu. Lecz na tem jeszcze nie koniec. Ubiegłej niedzieli nieszczęsna ta parafia w Detroit była widowiskiem niesłychanego dotąd, być może w całym świecie, oszustwa. Oto co się tu stało:

Smutnej sławy ks. Kolasiński Dominik przed dwoma blisko laty rozpoczął budowę nowego ogromnego kościoła. Założono fundamenta; na fundamentach rość poczęły już ściany, i gdyby nie trudności w poświęceniu Kamienia, wspaniały kościół byłby może już stanął; lud jednak wiedząc, że tylko Biskup właściwie poświęca kamień węgielny, od początku a natarczywie domagał się o jakiegokolwiek katolickiego Biskupa, by przed ukończeniem świątyni dopełnił ceremonii potrzebnej; ks. Kolasiński na razie przyrzekał, tłumaczył się, zmieniał termin od święta do święta, aż wreszcie, po dwóch latach, przyciśnięty natarczywością parafijan, postanowił zdobyć się na zbyt śmiały fortel i dopuścić się nieprawdopodobnego w XIX wieku oszustwa. Na dwa tygodnie przed Zielonemi Świątkami ogłasza, że na Uroczystość Zesłania Ducha św. zjedzie do Detroit Biskup katolicki z Podola (sic) i z rozkazu Ojca św. poświęci im kamień węgielny. Bractwa, Matki, Ojcowie, dzieci, słowem cała ta nieszczęsna parafia czynić przygotowania zaczęła na przyjęcie u siebie tak upragnionego gościa. Wszyscy inni mieszkańcy, uprzednio czytając o tem w angielskich dziennikach, sądzili, że to żart i nic więcej — tymczasem dzień Zielonych Świąt dowiódł, że i w XIX wieku znaleść można człowieka, który w biały dzień i w przytomności dwustutysiącznej ludności (200.000) odważy się wystąpić publicznie ze swojem widocznem szalbierstwem. W Niedzielę, dnia 5 b. m. od samego rana ciągnęły już tłumy na miejsce przyrzeczonej ceremonii kościelnej. Dzieci przystrojone w bieli niosły kwiaty w koszykach, starzy i młodzi w odświętnych szatach spieszyli ze wszech stron za dziećmi: bractwa z odznakami, żołnierze w uniformach, następnie muzykanci, a za nimi reporterzy od gazet i tysiące ciekawych anglików— w ruchu, wszystko to kazało się domyślać jakiegoś nadzwyczajnego wypadku w Detroit. I rzeczywiście w dniu tym rzecz nadzwyczajna się stała. Jakiś oszust, (nazwisko jego podamy w niedalekiej przyszłości,) potajemnie namówiony przez ks. Dominika i w zaufaniu pouczony, jak się ma zachować, pompatycznie i przy okrzykach radości uniesionych parafian, ukazał się w towarzystwie nieprawego Proboszcza. Mniemane poświęcenie kamienia odbyło się ryczałtem, bez ceremonij przepisanych przez Kościół, a lud—uszczęśliwiony—cisnął się, by ucałować ręce tego świętokradzcy z Chicago.

Po obiedzie około godz. 4 cały orszak z kilkunastu złożony tysięcy w tryumfie z muzyką i hałasem przeciągnął po ulicy Washington około mieszkania Ks. Biskupa Foley'a i tak odprowadził wkońcu swego „dostojnika" na kolej; że pociągu jednak nie było w tym czasie żadnego—ów „biskup z potrzeby" skrył się gdzieś narazie i przepadł bez wieści. Reporterzy utrzymują, że go widzieli u sprzymierzeńca ks. Dominika tj. u Józefa Przybyłowskiego w ukryciu. Odtąd pisma angielskie wyszydzają łatwowierność i ciemnotę polaków, co tym razem zawdzięczać możemy podstępowi przewrotnego sługi Ołtarza.

Patrz, ludu polski, co tu na wolnej amerykańskiej ziemi niekiedy dziać się może! Trzymaj się więc wiary Ojców twoich oburącz i słuchaj prawowitej Władzy, a ten przykład tak nisko upadłego człowieka, a nawet Kapłana polskiego, niech cię przeraża na przyszłość, byś zdaleka omijał niebezpieczne te drogi, na których zanika wszelka uczciwość i poczucie ludzkiej godności!

Dnia 5 Czerwca odbył się przy kościele św. Józefa roczny zjazd niemieckiego centralnego Katolickiego Stowarzyszenia Stanu Michigan.

Uroczystość rozpoczęła się tryumfalnym pochodem niemców po ulicach Detroit, po czem nastąpiła msza św., którą celebrował Ks. Biskup S. J. Foley w kościele św. Józefa, a po południu odbyły się wspólne narady delegatów w przyległej sali szkolnej. Powzięto następujące rezolucye: zaprotestować przeciwko ograbieniu Stolicy świętej przez włochów, przeciwko amerykańskiemu towarzystwu „Patriotic sons“ i przeciw nakładaniu przez rząd podatków na własności kościelne w Stanie Michigan.

Według „Detroit Free Press“ w uroczystości uczęstniczyło około 15 niemieckich księży miejscowych i zamiejscowych, pomiędzy którymi byli, znani tutejszym Polakom: ks. dziekan Friedland, ks. Fr. Svenson, ks. B. J. Wermers i ks. Paweł Gutowski.